

Nawrócony

Bolesław Prus



calibre 0.9.27

NAWRÓCONY

Bolesław Prus

Pan Łukasz siedział zamyślony.

Był to starzec wysoki, chudy, pochylony. Liczył około siedemdziesięciu lat i miał czarne, dosyć gęste włosy, upstrzone siwymi kosmykami. Nie posiadał ani jednego zęba, a śpiczasta broda zbiegała mu się z hakowatym nosem, co fizjognomji starca nie nadawało przyjemnego wyrazu. Okrągłe, zapadnięte oczy, a nad niemi brwi krzaczaste—żółta, pomarszczona skóra na twarzy i lekkie trzęsienie głowy nie robiły go piękniejszym.

Siedział w pokoju dużym, od kilkunastu lat nieoczyszczanym, zapchanym sprzętami. Były tam staroświeckie szafy i komody, ozdobione bronzami, były duże fotele, na których mole skórę zjadły, wyściełane krzesła zapomnianych form i obszerne kanapy z powyginanemi poręczami. Na ścianach, zasnutych pajęczyną, wisiały szerniałe obrazy, na komodach i biurkach stały posążki i zegary, o tyle pokryte warstwą kurzu, że delikatniejsze ich linje i powierzchnie znikły.

Prócz tego, największego, były jeszcze dwa pokoje mniejsze, tak już zapełnione gratami, że chodzenie po nich przedstawiało pewne trudności. Graty owe, niepodobne jedne do drugich, ustawione nieporządnie, ściśnięte, próchniejące, wyglądały tak, jakgdyby z różnych stron świata spędzono je do wspólnego grobu.

Były między niemi niektóre, posiadające wielką wartość archeologiczną, niektóre uderzające pięknnością, inne — rozmiarami i dokładnością wyrobu, a jeszcze inne nie warte, jak to mówią, funta kłaków. Niemniejszą różnaitością odznaczało się pochodzenie ich. Jedne pan Łukasz odziedziczył, drugie kupił u antykwaryjuszów, albo na licytacji za marne pieniądze, trzecie darowano mu, jako miłośnikowi osobliwości, inne zabrał swoim dłużnikom i niewypłacalnym lokatorom. I wszystko to zwłóczył do mieszkania, zapychał tem każdy kąt wolny, przedmioty drobniejsze zawieszał, albo ustawiał w szafach i komodach, przedmioty tańsze wynosił na strych, słowem gromadził bez wyboru, ładu i końca, nie zadawszy nawet sobie przez siedemdziesiąt lat pytania: w jakim celu robi to, co mu z tego przyjdzie?

Istnieje wodorost pochodzący, jak mówią, z Ameryki, który odznacza się takim łakomstwem i tak szybkim rozwojem, że gdyby go nie wytępiano, zapchałby sobą wszystkie rzeki, stawy i jeziora na świecie, zagarnąłby każdy cal ziemi wilgotnej, pochłonałby wszystek węgiel z powietrza, zdusiłby wszelkie inne wodorosty, nie przez zawiść, złość, lub przez brak poszanowania cudzych praw, ale tak sobie, z wrodzonego popędu.

Pan Łukasz był podobną istotą w rodzaju ludzkim. Przyniósłszy na świat instynkt zagarniania wszystkiego, co się da, nie myślał o celu swych działań, nie zdawał sobie sprawy ze skutków, tylko... zagarniał. Głuchy na krzyk cierpień i klątw, obojętny dla nieszczęść, jakie wytwarzał, skromny w użyciu, krzywdził ludzi na prawo i na lewo, sam nic osobliwego nie zaznał, tylko chwycił i gromadził. Postępowanie to nie przynosiło mu żadnego szczególnego zadowolenia, lecz zaspakajało ślepy instynkt.

Będąc jeszcze dzieckiem, Łukaszkiem, wydrwiwał on od swoich rówieśników zabawki, spędzał ich z miejsc cieplejszych na piasku, objadał się do niestrawności i napełniał kieszenie, byle z jego

porcji nie dostało się co rodzeństwu. Będąc uczniem, pracował dnie i noce, byle otrzymać najwyższe możliwe nagrody, i jeszcze gryzł się, że, pomimo to, inni nagrody dostają.

Jako młodzieniec, wstąpił do biura i tam chciał pełnić wszystkie urzędy, wykonywać wszystkie prace, zabierać wszystkie pensje i łaski zwierzchników. Nareszcie ożenił się z najładniejszą i bogatą panną, nie z miłości, ale dlatego, ażeby kto inny jej nie dostał. I jeszcze niezadowolony ze swego losu, chciał bałamucić żony kolegom i znajomym.

Wszelako w tej epoce życia zetknął się z poważnemi przeszkodami. Koledzy biurowi chętnie odstępowali mu referaty, ale mocno bronili swoich tytułów i pensyj. Zwierzchnicy chętnie posługiwali się nim, ale łask skąpili. Nareszcie panie, do których umizgał się, drwiły z niego, że był brzydki, a mężowie ich za natręctwo często urządzali Łukaszowi bolesne manifestacje.

Dzięki tak gorzkim, naukom, pan Łukasz przestał dążyć do zagarnięcia wszystkiego, co jest pod słońcem, ale ograniczył się do rzeczy możliwych i najbliższych. Gromadził więc sprzęty, książki, odzież, rozmaite osobliwości, a nadewszystko — pieniądze.

W gonitwie za posiadaniem bynajmniej nie myślał o używaniu. Mieszkania nie odnawiał, sługi nie trzymał, jadał w najlichszych restauracjach, rzadko kiedy dorożką jeździł, raz na kilka lat w teatrze bywał i nigdy nie leczył się, z powodu wstrętu do płacenia honorarjów lekarzom.

Żona jego rychło zmarła, zostawiwszy mu kamienicę i córkę. Pan Łukasz córkę wychował jako tako i najspieszniej wydał ją za mąż. Ale ani wesela nie sprawił, ani obiecane go posagu nie wypłacił, ani nawet kamienicy matczynej nie zwrócił. Wkońcu nieznośnym uporem sprawił to, że zięć wytoczył mu proces o zwrot domu. Sprawa była czysta, i pan Łukasz przegrać musiał, ale dobrowolnie nie chciał ustąpić. Będąc zasobnym i bardzo biegłym w prawie, wynajdywał mnóstwo wykrętów i działał na zwłokę, w czem dzielnie pomagał mu pan Kryspin, stary adwokat. Kryspin stracił już praktykę, ale z nałogu wyszukiwał sobie klientów z najbrudniejszymi sprawami i prowadził ich procesy za liche wynagrodzenie, albo nawet darmo. Byle nie zaśniedzieć!

Przez jakiś czas pan Łukasz miał rozrywkę. Oto z kilkoma starymi sędziami, z pewnym prokuratorem i z adwokatem Kryspinem schodzili się codzień na preferansa i przy dwu stolikach grali o liczmany. Trwało to ze dwadzieścia lat, ale wkońcu urwało się. Sędziowie i prokurator zmarli, i został tylko pan Łukasz z adwokatem. Ponieważ zaś we dwu przyzwoitej gry urządzić nie mogli, a o tak dobrane towarzystwo, jak niegdyś, było im obecnie trudno, więc obaj zarzucili preferansa. Pocieszali się tylko nadzieją, że prędzej lub później połączą się w niebie ze zmarłymi towarzyszami i tam przy dwu stolikach grać będą całą wieczność.

Siedział tedy pan Łukasz na kanapie, z której w jednym rogu włosień wylaził, splótł kościste dłonie, oparł je na kolanach, które ostro zarysowywały się na starym wutowanym szlafroku, machinalnie poruszał zapadłemi ustami, trząsł głową i wciąż myślał.

Miał sporo kłopotów.

W dniu jutrzejszym przypadała w sądzie sprawa jego z córką o kamienicę, a tu, jakby na nieszczęście, adwokat Kryspin wyjechał z Warszawy. Może nie wróci na czas i przegra?...

Byłby to dla pana Łukasza silny cios pod wieloma względami. Naprzód musiałby oddać córcę dom, on, który tylko brać lubił. A powtóre — kto wie, czy córka, którą ojciec rzucił na pastwę niedostatku, nie zechce mścić się i nie każe płacić sobie za komorne?...

— Eh! chyba nie robi tego — szepnął Łukasz. — Ona zawsze była dobrem dzieckiem... Ale zresztą — dodał z westchnieniem — i to być może. Dzisiejszy świat taki cheiwy!...

Pan Łukasz z rana posłał do kancelarji Kryspina list z zapytaniem: kiedy adwokat wraca? Tymczasem nie odebrał odpowiedzi, choć była już druga po południu, a stary dependent Kryspina odznaczał się punktualnością.

— Co to może znaczyć?...

Taki był pierwszy kłopot, wcale nie największy. Jutro bowiem przypadała licytacja na ruchomości pewnego stolarza, który mieszkał w domu Łukasza i za kwartał komornego nie zapłacił. Otóż frasował się znowu pan Łukasz: czy niesumienny lokator nie ukrył czego i czy licytacja pójdzie o tyle dobrze, aby on odzyskał należność za komorne i jeszcze na koszt procesu.

Z tą licytacją była prawdziwa heca.

Dzień w dzień przychodził do pana Łukasza ktoś z familji stolarza, upadał mu do nóg i błagał, jeżeli nie o darowanie długu, to przynajmniej o prolongatę. Płakano przytem i mówiono, że stolarz jest ciężko chory i że licytacja zabić go może...

Ale pana Łukasza takie rzeczy nie obchodziły. On myślał raczej o tem, że paru dobrych lokatorów miało zamiar wyprowadzić się z jego domu, i że już jeden lokal od dwu tygodni stał pustką. Niepoczciwi ludzie oczerniali pana Łukasza. Mówili, że jest chciwy, zły ojciec, zły gospodarz, i że, chociaż na piersiach nosi trzydzieści tysięcy rubli listami zastawnymi, przecież nie chce odnawiać mieszkań i zarywa lokatorów, o ile się da. Z tego powodu tylko w ostateczności najmowano lokale w jego domu.

— Zły gospodarz! — mruczał pan Łukasz. — A co to, czy ja stróża nie trzymam? Czy co pierwszego nie zgłaszam się sam po komorne? Czy nie zmusił mnie magistrat do zaprowadzenia chodnika asfaltowego przy kamienicy?... O! jeszcze dziś gotują tę obrzydłą smołę pod oknami, a dym aż dusi... Bodaj z piekła nie wyrzeli ci asfalcjarze, a najpierwej główny przedsiębiorca!...

I znowu mruczał w dalszym ciągu:

— Mówią, że im mieszkań nie odnawiam. A dawnoż to kazałem obmurować wspólną wygodkę?... A mało przy tem miałem zgryzoty?... Mularz hultaj zrobił źle, i aż musiałem mu nietylko wstrzymać zapłatę, ale jeszcze przyaresztować naczynia... Teraz pan Łukasz spojrzął w kąt pokoju, aby przekonać się, czy zaaresztowane przedmioty leżą na właściwem miejscu. Rzeczywiście, zobaczył powalany wapnem szaflik, młot i kielnią. Tylko pendzla, grundwagi i linji nie było, ale to już nie z winy pana Łukasza, tylko z powodu złośliwości mularza, który rzeczy te gdzieś ukrył.

— I taki łotr — dodał po chwili pan Łukasz — śmie jeszcze grozić mi procesem, albo nachodzić mój dom i upominać się o swoje naczynia i o zapłatę!... Czysty rabuś... Strach pomyśleć, jacy niesumienni są dzisiejsi ludzie. A wszystko przez chciwość.

W tej chwili pan Łukasz powstał ciężko z kanapy i, suwając nogami, wyrztał przez okno na ową zepsutą przez mularza wygodkę. Ale pomimo najszczerszych chęci nie mógłby powiedzieć, na czem polegało zepsucie naprawionego budynku...

Bliżej okna stał duży śmietnik, zawsze pełny i cuchnący. Na szczycie stosu słomy, papierów, skorup i tym podobnych rupieci pan Łukasz zobaczył swój stary, okrutnie podarty pantofel, który, po długiej walce ze sobą, wczoraj własnoręcznie wyrzucił.

— Ej! czy ja się tylko nie pośpieszyłem zanadto z tem wyrzuceniem? — pomyślał starzec. — Pantofel zdaleka wygląda wcale dobrze... Chociaż... zostawmy go w spokoju!... Godzien musiałem go latać, na co, jak obliczyłem bez błędu, wychodziło mi rocznie za parę rubli skrawków...

Wtem zapukano do mieszkania. Pan Łukasz odwrócił się od okna i z niemałym wysiłkiem, prędko suwając nogami, doszedł do drzwi. Otworzył w nich drewniany lufcik i przez kratę zapytał:

— Kto tam tak wali we drzwi?... Czy nie wiesz, żeś mógł je wyłamać?...

— List z kancelarji pana adwokata! — odpowiedział głos z poza kraty.

Pan Łukasz prędko pochwycił pismo.

— A może co na piwo dostanę? — zapytał posłaniec.

— Nie mam drobnych — odparł pan Łukasz. — Zresztą, nie wal tak mocno we drzwi, jeżeli

chcesz dostać na piwo.

Zamknął lufcik i powlókł się do okna, a tymczasem za drzwiami posłaniec wymyślał mu:

— A to stary kutwa! Nosi na żebrach trzydzieści tysięcy rubli, obdziera każdego i jeszcze na piwo nie chce dać. Bodaj cię z piekła wyrzucili!...

— Cicho bądź, ty zuchwalcze! — odparł mu pan Łukasz i odpieczętował list.

Straszna wiadomość!...

Dependent pisał, że pociąg, którym jechał adwokat Kryspin, rozbił się. Ponieważ adwokat żałował zwykle pieniędzy na telegramy, więc dependent był dotychczas w niepewności, czy pan Kryspin żyje... W każdym razie jednak — stało dalej w liście — sprawa pana Łukasza przeciw zięciowi o kamienicę jutro będzie popierana. Kryspin bowiem, jako człowiek systematyczny, naznaczył przed wyjazdem zastępcę.

— A! do licha! — mruknął Łukasz. — Temu zastępcy trzeba zapłacić, podczas gdy pocziwy Kryspin nic nie brał!... Jeszcze może sprawę przegram i wyrzucą mnie z domu?...

Złożył list, wsunął go w kopertę i schował do biurka, mówiąc dalej do siebie:

— Pewnie Kryspin, jak zwykle, miał przy sobie wszystkie pieniądze... Jeżeli zginął w pociągu, to go niezawodnie okradną. Familji nie ma... Stary kawaler... Nie wołał onby to mnie taką sumę zapisać?... Miał chyba ze dwadzieścia tysięcy rubli...

Z temi słowy pan Łukasz starannie obmacał piersi, na których pod szlafrokiem, koszulą i kaftanikiem gruba paka tysiącrublowych listów zastawnych spoczywała dniem i nocą.

Wiadomość o możliwej śmierci adwokata, w połączeniu z procesem i licytacją, które on właśnie prowadził, zrobiły na panu Łukaszu bardzo silne wrażenie. Starzec zmartwił się tak, że aż uczuł bóle reumatyczne w nogach i w głowie. Chodzić nie mógł, więc owinał głowę zabrudzonym szalikiem i położył się na łóżku.

Z ulicy dolatywała go woń asfaltu, którym na koszt pana Łukasza i innych właścicieli domów wylewano chodnik. Ostry zapach drażnił starca.

— Oto dzisiejsze gospodarstwo miejskie! — biadał stary samotnik. — Robią chodniki z materiałów kruchych i tak cuchnących, że człowiekowi mało głowa nie pęknie. Bodajeście z piekła nie wyrzeli, a najbardziej ten djabelski inżynier, który dopóty pisał o asfalcie, dopóki nie wziął go w antreprzyę. Włóczykij!...

I z niejakim zadowoleniem rozmyślał o tem, że inżynier może naprawdę z piekła nie wyrzeć. Ale jednocześnie przypomniał sobie, że przed chwilą jemu, panu Łukaszowi, posłaniec powiedział:

— Bodaj cię z piekła wyrzucili!...

— Głupiec jakiś! — szepnął pan Łukasz. — Mnieby tam z piekła wyrzucili!...

Ale wnet pomiarkował, że plecie od rzeczy i sam na siebie zły wyrok wydaje. Bo jeżeli go z piekła nie wyrzucą, to będzie w niem siedział, będzie gotował się w smole...

— Za co?... — mruknął starzec. — Cóżem ja komu winien?...

Sumienie jednak musiało mu coś wyrzucać, wnet bowiem poprawił się:

— Naturalnie, zem nic nikomu nie winien... Jak żyję, nie pożyczałem pieniędzy od nikogo!...

Ale i ten wykręt nie zaspokoił go.

Pan Łukasz był jakoś dziwnie rozstrojony. Asfalt pachniał coraz mocniej, a jego bolała głowa coraz gwałtowniej. Nie mógł opędzić się myśli o losie adwokata Kryspina, który już umarł, choć miał dopiero lat sześćdziesiąt — i umarł nagle...

A ten piękny komplet preferansistów, grających o liczmany, jakże prędko rozproszył się! Jeden sędzia umarł na apopleksję, mając lat pięćdziesiąt osiem. Drugi na suchoty — w pięćdziesiątym roku życia. Trzeci spadł ze schodów. Prokurator bodaj czy się sam nie otruł, a teraz przyszła kolej na

adwokata...

Przy siedemdziesięcioletnim panu Łukaszu wszyscy oni byli młodzikami i pomimo to zeszli ze świata. Tam, za grobem, zebrało się już całe kółko preferansistów — i jeżeli nie grają jeszcze, to tylko z tego powodu, że on się jeszcze nie stawił.

— Brrr!. jakże mi zimno! — mruknął pan Łukasz. — A jeszcze ten asfalt... O, to byłby interes, gdyby mnie dym asfaltowy umorzył teraz, zaraz!... A tu proces nierozstrzygnięty, stolarz niezlicytowany, lokale niewynajęte, mularz może wykraść swoje naczynia... A stróż, ten, gdybym już nie wstał, zrewiduje moje zwłoki i zabierze mi z pod kaftanika trzydzieści tysięcy rubli. A ja nie będę go mógł nawet zaskarżyć!... Czy to być może, abym ja przeżył siedemdziesiąt lat? Wydaje mi się, że dzieciństwo, szkoły, biuro, preferans, że wszystko to odbyło się wczoraj. Ale kłopoty, procesy, samotność, jakże długo ciągnęły się!...

Strach ogarnął pana Łukasza. On nigdy jeszcze tak poważnie nie myślał o życiu, nigdy nie zastanawiał się nad niem, tylko zbierał i gromadził, co mu wpadło pod rękę.

— Ej! czy te nowe, niesłychane myśli nie oznaczają bliskiego końca?...

Pan Łukasz chciał zerwać się, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa. Chciał zrzucić szalik z głowy, ale stracił władzę w rękach. Wkońcu chciał oczy otworzyć... Napróżno!

— Umarłem! — westchnął, czując, że mu i usta zdrętwiały.

Gdy panu Łukaszowi wróciła przytomność, nie leżał już na swym łóżku, ale stał w jakiejś dużej sieni przed żelaznymi drzwiami. Sień była sklepiona i miała ceglana posadzkę. Przy drzwiach siedział ogromny zamek, przez którego dziurkę dokładnie widzieć można było sąsiednie mieszkanie.

Pan Łukasz zajrzał.

Zobaczył dwie sale, jedna za drugą. W pierwszej ktoś, bardzo podobny do adwokata Kryspina, czytał wielki zeszyt sądowych aktów. W drugiej sali był stół zielonym sukniem przykryty i kilka prostych foteli, obitych czarną skórą. W głębi, przy szafach, zapelnionych aktami, czterej mężczyźni zdejmowali ubrania cywilne i wkładali zbyt ciasne, albo zbyt obszerne, a w każdym razie mocno wyszarżane mundury ze złożonymi guzikami i haftem na kołnierzach.

Pan Łukasz zaniepokoił się. Ci czterej byli mu dobrze znani. Jeden z nich, kulawy, z bliznami na twarzy, bardzo przypominał sędziego, który stracił życie, spadłszy ze schodów. Ten drugi, tłusty, z krótką szyją i siną twarzą, był niesłychanie podobny do sędziego, zmarłego na apopleksję. Trzeci, chudy jak laska cynamonu, czysty szkielet, kaszlący — to sędzia, co umarł na suchoty. A czwarty — to prokurator, prokurator we własnej osobie, który ze wszystkimi kłócił się przy preferansie, wiecznie chorował na wątrobę i pod wpływem hipochondrii połknął strychniny!...

Co to znaczy?... Czyżby pan Łukasz spał i marzył?...

Starzec uszczypnął się, i teraz dopiero spostrzegł, że zamiast szlafroka ma na sobie długi, czarny surdut wutowany. Coś go ukłuło w brodę. To kołnierzyk, tak mocno wykrochmalony, że w życiu podobnego nie nosił. Uczuł wkońcu, że nogi go trochę pieką. Spojrzał. Ależ on ma nowe buty!... Nowe i ciasne!

Nieograniczone zdumienie ogarnęło pana Łukasza. Starzec przestał rozumować, stracił pamięć, a nawet, co gorsze, obecność czterech zmarłych towarzyszy preferansa począł uważać za rzecz bardzo naturalną.

W takim nastroju ducha przycisnął wielką klamkę. Ciężkie drzwi odsunęły się, i pan Łukasz wszedł do sali, sklepionej podobnie jak sień i przypominającej izby klasztorne, albo hipoteczne.

W tej chwili jegomość, czytający akta, odwrócił się od pulpitu, i pan Łukasz poznał w nim adwokata Kryspina. Prawnik zdawał się być nieco potłuczony, miał jednak cerę zdrową i minę dość swobodną.

— Więc ty żyjesz, Kryspinie? — zawołał pan Łukasz, ściskając przyjaciela za rękę.

Adwokat spojrział na niego badawczo.

— Twój dependent — mówił dalej Łukasz — napisał mi, że się pociąg z tobą rozbił...

— No tak. — I domyślał się, że jesteś zabity...

— No tak — odparł adwokat obojętnie.

Pan Łukasz zawahał się, jakby nie dowierzając swoim organom akustycznym.

— Jakże — pytał — więc w tej katastrofie kolejowej ty zostałeś zabitym?...

— Rozumie się.

— Na śmierć?...

— Rozumie się! — odparł zniecierpliwiony adwokat. — Przecież, kiedy ci sam mówię, że zostałem zabity na śmierć, to już musi być prawda.

Pan Łukasz zamyślił się. Według ziemskiej logiki, to, co mówił jego przyjaciel, nazywało się nie „prawdą,” lecz „niedorzecznością.” W tej chwili jednak starzec uczył w swej głowie przebłytki jakiejś nowej logiki — więc adwokat, mówiący o swej śmierci w czasie przeszłym, wydał mu się zjawiskiem jeżeli nie zwykłym, to przynajmniej możliwym.

— Powiedźże mi, mój Kryspinie — rzekł Łukasz — powiedźże mi, a... pieniędzy nie ukradli ci?

— Bynajmniej, leżą nawet w tej sali.

I to powiedziawszy, adwokat wskazał na jedną półkę, gdzie między stosem makulatury wałały się listy zastawne.

Pan Łukasz oburzył się.

— Któż znowu tak robi, mój Kryspinie? Mogą ci jeszcze zginąć!... — zawołał.

— A cóż mnie to obchodzi? Listy zastawne nie mają tu żadnej wartości.

— Tylko złoto? — pochwycił Łukasz.

— Ani złoto. Bo i co nam po niem? Wikt mamy darmo, mieszkanie darmo, odzienie nie niszczy się, a w preferansa grywamy o grzechy powszednie.

Pan Łukasz nie rozumiał tego, co słyszy, ale też przestał się dziwić.

— Swoją drogą — rzekł do Kryspina — złoto nawet w tych warunkach ma swoje powaby. Posiada ono blask, dźwięk...

Adwokat zbliżył się do ściany i otworzył małe żelazne drzwiczki. W tej chwili Łukasz zobaczył straszliwy blask, buchający jakby z pieca, gdzie topi się stal, usłyszał okrutne jęki tysiąca głosów i brzęk łańcuchów.

Pan Łukasz zamknął oczy i zatkał uszy. Nigdy jeszcze nerwów jego nie wstrząsnęły równie silne wrażenia.

Adwokat zatrzasnął drzwiczki i rzekł:

— To ma lepszy dźwięk i blask, aniżeli złoto. Prawda?

— Tak — odparł uspokojony Łukasz — ale złoto ma wagę i trwałość.

Kryspin przez chwilę milczał smutnie.

— Łukaszu — rzekł nagle — podaj-no mi moją rękawiczkę. Ona leży na tym pulpicie.

Łukasz schwycił prędko czarną rękawiczkę zwyczajnych rozmiarów, lecz w tej chwili rzucił ją na ziemię.

Niesłychana rzecz! — drobny ten przedmiot upadł z łoskotem kilkusetfuntowej bryły żelaza.

— Co to znaczy? — zapytał przerażony.

— To, widzisz, jest materiał, z którego mamy odzienie. Krawat i rękawiczki ważą po pięćset funtów, buty po dwa tysiące funtów, surdut około stu tysięcy funtów i tak dalej!... Mamy zatem dosyć owej wagi, która ci się tak podoba w złocie.

Powiedzieliśmy, że pan Łukasz od chwili wejścia do tej sali nie dziwił się niczemu, tylko nic nie rozumiał. Obecnie począł nawet coś rozumieć, stopniowo coraz jaśniej, ale uczuł zarazem strach, z początku mały, potem większy, a nareszcie dosyć wielki. Aby więc rozproszyć swoje wątpliwości, a z nimi obawy, zapytał pocichu adwokata, ścisnąwszy go czule *za rękę*:

— Kochany Kryspinie! powiedz mi, gdzie... niby gdzie... ja jestem?

Adwokat wzruszył ramionami.

— Czy jeszcze nie domyśliłeś się, że jesteś za grobem, tam, gdzie zmarli zamieniają żywot doczesny na wieczny?

Pan Łukasz otarł pot z czoła.

— Nieszczęście! — zawołał — a toć ja zostawiłem dom i mieszkanie bez nadzoru...

W sąsiedniej sali rozległ się głos dzwonka.

— Kto tam jest? — zapytał nagle Łukasz.

— Nasi preferansowi towarzysze: sędziowie i prokurator. — Więc możemy zrobić pulkę? — rzekł nieco weselej Łukasz. — Widziałem tam nawet stół... Kryspin jednak był mniej wesoły.

— My tu robimy pułki — odparł — ale z tobą musimy naprzód załatwić czynność urzędową. Dowiedz się, że tamci panowie tworzą sąd szczegółowy, który zbada całe twoje życie i zakwalifikuje cię do pewnej kategorii piekła. Ja jestem twoim adwokatem, rozpatrzyłem się w aktach i obawiam się, czy będziesz mógł zasiąść z nami do puli!...

Gdyby teraz pan Łukasz miał przed sobą lustro, przekonałby się, że istotnie jest trupem — tak zmizerniał, wysłuchawszy adwokata.

— Kryspinie! — rzekł nieszczęśliwy, drżąc całem ciałem — więc wy jesteście w piekle?

— Bah!...

— I ja mam być w piekle?...

— Och!... — mruknął adwokat, jakby zdziwiony pytaniem.

— A jakimże prawem wy mnie sędzicie?

— Tu, widzisz, jest laki zwyczaj, że hultaje sądzą hultajów — odparł Kryspin.

— Mój kochany — rzekł Łukasz, składając ręce — więc kiedy tak, to osądźcież mnie do tego oddziału, w którym sami bawicie!...

— My tylko tego pragniemy — odpowiedział adwokat — ale...

— Co ale?... Jakie ale?...

— Musisz dowieść sądowi, że w ciągu życia spełniłeś choć jeden czyn... bezinteresownie.

— Jeden? — zawołał pan Łukasz. — Chyba sto, tysięcy... Ja całe życie postępowałem tylko bezinteresownie.

Kryspin z powątpiewaniem pokiwał głową.

— Mój Łukasz — rzekł — ja z twoich aktów bynajmniej nie widzę tego. Gdybyś, jak mówisz, całe życie postępował bezinteresownie, to nie dostałbyś się do naszego towarzystwa, które w czwartym departamencie piekła tworzy ósmą sekcją jedynastego oddziału.

W sąsiednim pokoju odezwał się dzwonek po raz drugi. Jednocześnie Łukasz usłyszał gruby głos sędziego, który zmarł na apopleksję:

— Czy nowoprzybyły już gotów?

— Chodźmy! — rzekł adwokat, biorąc Łukasza pod rękę.

Weszli. Sąd siedział w komplecie, ale żaden z jego członków nawet kiwnięciem głowy nie powitał Łukasza. Starzec obrzucił okiem salę. W dużych szafach leżały akta, opatrzone nazwiskami. Łukasz naprędce odczytał niektóre i ze zdumieniem przekonał się, że są to nazwiska dobrze znanych mu właścicieli kamienic w Warszawie. Na jednych półkach spoczywały dokumenta samych

preferansistów, na innych — samych wiściaray, gdzie indziej takich, którzy grywali tylko w bezika...

Nad szafami widać było gęstą pajęczynę, pająki z twarzami sławnych lichwiarzy, które zajmowały się udręczaniem much. W tych biednych owadach pan Łukasz poznał najznakomitszych współczesnych rozrzutników.

Sala ta znajdowała się pod dozorem jednego z eksurzędników cyrkułowych, który grzeszył braniem łapówek, a umarł z pijaństwa.

Prokurator zabrał głos.

— Dostojni sędziowie! — rzekł, wskazując na Łukasza.— Ten oto człowiek, jak wam z odnośnych dokumentów wiadomo, przez ciąg siedemdziesięciu lat, spędzonych na ziemi, nikomu nie zrobił nic dobrego, a wielu krzywdził. Za takie postępowanie wyrokiem wyższej instancji zakwalifikowany został do jedynastego oddziału w czwartym departamencie piekła. Obecnie zaś chodzi o to tylko, czy ma być przyjęty do naszej sekcji, czy do innej, a może... posłany gdzie dalej. Zależy to od jego osobistych zeznań i dalszego postępowania. Czy adwokat obwinionego ma co do powiedzenia?

Pan Łukasz spostrzegł, że już w połowie prokuratorskiej mowy wszyscy sędziowie twardo zasnęli. Nie dziwiło go to jednak, gdyż, jako zapamiętały procesowicz, bardzo często bywał na sądach, tam — na ziemi.

Nigdy jeszcze pan Kryspin nie okazał tyle adwokackich przymiotów, co przy obronie dzisiejszej. Gmatwał sprawę, kręcił i kłamał tak znakomicie, że aż w zakratowanych oknach sali ukazały się zdziwione twarze djabłów. Ale sędziowie drzemali niewzruszeni, wiedząc, że nawet w piekle nie warto słuchać dowodzeń, nie mających praktycznego gruntu. Nareszcie adwokat upamiętał się i zawołał:

— A teraz, dostojni sędziowie, zacytuję wam jedną tylko, ale niezbitą prawdę na obronę mojego klienta. Oto... był on preferansista jakich mało.

— Prawda! — szepnęli rozbudzeni sędziowie.

— Mógł grać całą noc i nigdy się nie irytował.

— Prawda!...

— Skończyłem, panowie! — rzekł adwokat.

— I zrobiłeś pan bardzo dobrze — odezwał się prokurator. — A teraz zechciej nam wymienić jeden, jedyny czyn, któryby obwiniony spełnił w życiu bezinteresownie. Inaczej, jak panu wiadomo, grzesznik ten nie może zostać przyjęty do naszej sekcji.

— A tak świetnie pomagał!... — szepnęła sędzia, który zmarł skutkiem upadku ze schodów.

Wymowny adwokat umilkł i zagłębił się w rozpatrywaniu dokumentów. Widocznie nie miał już nic do powiedzenia.

Stan sprawy Łukasza był tak smutny, że wzruszył nawet prokuratora.

— Obwiniony! — zawołał oskarżyciel. — Czy nie przypominasz sobie choć jednego bezinteresownego czynu w życiu, byle dobrego?...

— Sędziowie! — rzekł pan Łukasz z głębokim ukłonem.— Kazałem przed domem wylać chodnik asfaltowy...

— Za który na dwa tygodnie pierwiej podniosłeś komorne lokatorom — przerwał mu prokurator.

— Odnowiłem wygodkę!...

— Tak! ponieważ zmusiła cię do tego policja. Łukasz pomyślał.

— Ożeniłem się!... — rzekł po chwili.

Ale prokurator tylko machnął ręką i surowo zapytał:

— Czy nic już więcej nie masz do powiedzenia?

— Panowie sędziowie! — zawołał Łukasz, bardzo już przestraszony. — Ja wiele w życiu mojem spełniłem czynów bezinteresownych, ale jestem stary... pamięć mi nie dopisuje...

Teraz adwokat zerwał się, jakby go pokropiono święconą wodą.

— Sędziowie! — rzekł — obwiniony ma racją. Poszukawszy, znalazłby niewątpliwie w życiu swem niejednen czyn piękny, bezinteresowny, szlachetny, ale i cóż, kiedy go pamięć opuściła?... Dlatego proszę, a nawet domagam się, ażeby sąd, ze względu na wiek i przestach obwinionego, nie ograniczał się na jego zeznaniach, lecz... poddał go próbom, które w całym blasku okażą wszystkie wzniosłe jego przymioty...

Zgodzono się na projekt, i sąd począł naradzać się nad rodzajem próby. Pan Łukasz tymczasem odwrócił głowę i spostrzegł za sobą jakąś nową figurę. Był to niby woźny sądowy, ale z miną tego pokątnego doradcy, który miał na ziemi słynny proces o kradzież, oszustwo i przywłaszczenie sobie tytułów.

— Zdaje mi się, że mam przyjemność znać pana dobrodzieja? — rzekł Łukasz, wyciągając do woźnego rękę.

Woźnemu oczy zaiskrzyły się, i już chciał schwycić rękę Łukasza, gdy nagle pan Kryspin odtrącił go, mówiąc:

— Dajże pokój, Łukaszu!... Toż to djabeł... Dopierobyś dobrze wyszedł, gdyby cię raz złapał!...

Pan Łukasz bardzo się zmieszał, począł uważniej oglądać tę nową figurę, a nareszcie szepnął do adwokata:

— Jak też ludzie we wszystkim przesadzają! Mówiono mi zawsze, że djabeł ma rogi, tak wielkie, jak stary kozieł, a ten przecie nie ma większych, niż młode cielę. Ledwie mu guzy znać...

W tej chwili sąd przywołał do siebie adwokata.

Prezydujący szepnął mu cos, i wnet potem Kryspin rzekł głośno do Łukasza:

— Czy zrobiłeś kiedy w życiu jaką ofiarę, naprzykład na cel dobroczynny?

Łukasz zawahał się.

— Niedobrze pamiętam — odparł — mam już lat siedemdziesiąt...

— A czy nie miałbyś ochoty teraz zrobić podobnej ofiary? — pytał adwokat i znacząco mrugnął.

Pan Łukasz wcale nie miał ochoty, ale, spostrzegłszy owo mrugnięcie, zgodził się.

Podano mu papier i piprzyro, a pan Kryspin rzekł:

— Napisz deklaracją, tak jakbyś ją pisał do „Kurjera”. Pan Łukasz usiadł, pomyślał, napisał i oddał kartkę. Prokurator czytał:

— „Od Łukasza X., właściciela domu... na ulicy... pod numerem... rubli srebrem trzy (Nr. 3) składa się na cel dobroczynny. Tamże znajdują się narzędzia mularskie do sprzedania, tudzież różne lokale do wynajęcia po cenach umiarkowanych.”

Usłyszawszy taką deklaracją, sąd osłupiał, adwokat przygryzł wargi, a djabeł aż się za boki brał ze śmiechu.

— Obwiniony! — krzyknął prokurator. — Tyś napisał reklamę dla swego domu, ale nie deklaracją. Kto robi ofiarę na cel dobroczynny i robi ją bezinteresownie, ten nie może jednocześnie załatwiać spraw majątkowych.

Po tej nauce podano Łukaszowi inny papier. Nieszczęśliwy, drżąc z trwogi, usiadł i napisał:

„Od nieznanego dla ubogich kopiejek... piętnaście.”

Ale wnet przemazał wyraz piętnaście i napisał pięć.

Sąd odczytał deklaracją, sędziowie pokiwali głowami, ale zgodzili się, że jak dla Łukasza, to i taka ofiara, byle bezinteresowna, wystarczy.

Wtem odezwał się djabeł;

— To w jakim celu dałeś pan, panie Łukaszu, te pięć kopiejek na ubogich?...

— Za zbawienie grzesznej duszy mojej, panie dobrodzieju! — odparł Łukasz.

Djabeł znowu wybuchnął śmiechem, sędzia prezydujący uderzył pięścią w stół, a adwokat począł rwać sobie włosy.

— Ach, ty stary ośle! — zawołał Kryspin na pana Łukasza. — Słyszałeś przecie, że masz zrobić ofiarę bezinteresowną, a więc ani na ogłoszenie o lokalach, ani nawet za zbawienie duszy!... Ale ty widać taki jesteś chciwy, że pięciu kopiejek nie możesz poświęcić dla biednych bez żądania nagrody, i jeszcze takiej, jak zbawienie!...

Teraz sędziowie powstali ze swych miejsc. W ich groźnych i smutnych spojrzeniach pan Łukasz czytał dla siebie jakiś straszny wyrok.

— Woźny! — rzekł prezydujący. — Wyprowadź obwinionego do ostatniego kręgu piekła!

Ale djabeł machnął ręką.

— A nam co po takim pensjonarzu — rzekł — który własną duszę ocenia tylko na pięć kopiejek?

— Cóż my z nim zrobimy? — spytał prokurator.

— Co się panom podoba! — odparł djabeł, pogardliwie wzruszając ramionami.

— Więc zrobmy jeszcze jedną próbę — pochwycił adwokat.

I zbliżywszy się do prezydującego, coś z nim poszeptał. Prezydujący naradził się z innymi sędziami i rzekł: — Obwiniony! Między nami pozostać nie możesz, djabeł przyjąć cię nie chce, boś sam za nisko otaksował swoją duszę. Skazujemy cię więc na ostatnią próbę. Oto dusza twoja wejdzie w ten stary pantofel, który przed kilkoma dniami wyrzuciłeś na śmietnik... Dixi!

Pan Łukasz zdań o duszy słuchał obojętnie, ale gdy wspomniano o pantoflu, zainteresował się.

W tej chwili djabeł zlekka popchnął go ku zakratowanemu oknu sali sądowej; starzec wyjrzał i — o dziwy!...

...Zobaczył podwórko swojej kamienicy, okno swego mieszkania (po którym ktoś obecnie chodził), nareszcie śmietnik, a na jego szczycie swój pantofel.

— Ej! — mruknął — czy ja się tylko nie pośpieszyłem z wyrzuceniem jego?... Chociaż za dużo kosztowały reparacje...

Na podwórku ukazała się żebraczka nędzna, obdarta. Jedną nogę miała owiniętą w brudne łachmany i mocno kulała.

Rozejrzała się po oknach, widocznie z zamiarem proszenia o jałmużnę. Ale, że jakoś nikt nie wyglądał, więc zwróciła się ku śmietnikowi, myśląc, że choć tam co znajdzie.

Spostrzegła pantofel Łukasza.

Z początku wydał się jej bardzo zły. Że jednak nie było nic lepszego pod ręką, a chora noga widać bardzo jej dokuczała, więc... wzięła pantofel.

Pan Łukasz nie przeoczył ani jednego ruchu z tej sceny. Gdy zaś zobaczył, że uboga bierze pantofel i wychodzi z nim z podwórka, zawołał:

— Hej! hej! kobiecino, to mój pantofel!... Żebraczka obejrzała się i odparła:

— A cóż wielmożnemu panu po takim łachu?

— Łach, czy nie łach, ale zawsze on mój. Darmo go brać nie wypada, bo to, wygląda na kradzież. Więc jeżeli nie chcecie mieć grzechu, to... zmówcie paciorek za duszę Łukasza!...

— Dobrze, panie! — rzekła baba i poczęła mruczeć pacierze.

— Jednakże ten pantofel miał jeszcze wielką wartość! — pomyślał Łukasz.

A potem dodał głośno:

— Kobieto! kobieto!... Kiedy już wam darowałem takie obuwie, to zobaczcie przynajmniej, kto tam chodzi po moim mieszkaniu...

— Dobrze, panie! — odparła baba i poszła na górę, ciężko utykając.

Po upływie kilku minut wróciła i rzekła:

— Nie wiem, panie, kto chodzi, bo mi drzwi nie chcieli otworzyć!... Niech będzie pochwalony... Zabierała się do odejścia, ale pan Łukasz jeszcze nie dał jej spokoju.

— Matko! matko!... — zawołał. — Za taki porządny pantofel moglibyście sprowadzić mi tu stróża.

— A gdzie on jest? — spytała baba.

— Pewnie na ulicy, tam, gdzie robią chodnik.

— Tam go niema, widziałam przecie.

— To może poszedł po wodę koło Zygmunta. Sprowadźcie go, jakeście poczciwi!...

— Mam lecieć do Zygmunta za ten pantofel? — zapytała baba.

— Rozumie się! — odparł pan Łukasz. — Przecie nie darmo.

Baba, choć nędzna, oburzyła się.

— O, ty kutwo! — krzyknęła — a weźże sobie ten łach do piekła...

I rzuciła pantofel z taką siłą, że przeleciał przez kratę, świsnął nad głową panu Łukaszowi i upadł na stół, okryty zielonem sukniem.

Pan Łukasz obejrzał się.

Za nim stał sąd w całym komplecie, a zgryźliwy prokurator, zobaczywszy pantofel na stole, rzekł:

— Oto corpus delicti, materialny dowód nieograniczonej chciwości tego niegodziwca Łukasza.

A potem, zwracając się do adwokata i stojącego za nim djabła, dodał:

— Róbcie z obwinionym, co chcecie. Nam już go ani sądzić, ani skazywać nie wypada!

Dostojnicy zmienili swoje urzędowe uniformy na cywilną odzież, w której ich pochowano, i wyszli, nie patrząc nawet na Łukasza. Tylko sędzia, który umarł na apopleksję i zawsze był prędko, przestąpiwszy próg sali, plunął ze wzdargą.

Djabeł śmiał się jak opętany, a adwokat Kryspin o mało nie rzucił się z pięściami na Łukasza.

— O, ty egoisto! chciwcze!... — zawołał. — Zakłęliśmy duszę twoją w ten stary pantofel, myśląc, że choć w takiej powłoce odda ona komu usługę bezinteresowną. I stało się to, czegośmy pragnęli: żebraczka znalazła pantofel, miałaby choć na godzinę pożytek z niego, a ty spełniłbyś mimowoli czyn moralny. Ale gdzie tam!... Chciwość twoja jest tak wielka, żeś wszystko zepsuł... Nawet zgubiłeś na wieki pantofel, który, raz ożywiony przez taką nędzną duszę, musi obecnie iść do ostatniego kręgu piekła!...

Rzeczywiście djabeł zdjął pantofel ze stołu i rzucił go w luft, z którego wylatywały straszne płomienie, skąd rozlegały się jęki i brzęk łańcuchów.

— A co z nim zrobisz?... — zapytał djabeł adwokat, wskazując na Łukasza nogą.

— Z tym egzemplarzem?... — odparł djabeł. — Wyrzucę go z piekła, ażeby nas nie kompromitował!... Niech wraca na ziemię, niech na wieki wieków dusi swoje listy zastawne i banknoty, niech trzyma kamienicę, niech licytuje biednych lokatorów i krzywdzi własne dzieci. Tu zagnoiłby piekło swoją wstrętną osobą, a tam, krzywdząc ludzi, może nam oddać usługi.

Pana Łukasza, gdy słuchał tego, opanowały myśli ponure.

— Za pozwoleniem! — spytał — więc gdzież ja ostatecznie będę?

— Nigdzie! — odparł z gniewem adwokat. — O niebie ani czyścicu sam chyba nie myślisz, a z piekła, pomimo całej naszej protekcji, wyrzucają cię. No — dodał — bywaj zdrów i złam kark!...

I ażeby nie podać ręki panu Łukaszowi, schował obie ręce do kieszeni i wyszedł.

Pan Łukasz stał osłupiały i stałby tak przez całą wieczność, gdyby djabeł nie wykrzyknął, potraciwszy go obcasem:

— Ruszaj, stary!...

Wyszli z gmachu sądowego na ulicę i biegli prędko, zgraja bowiem uliczników piekielnych, zobaczywszy ich, poczęła wrzeszczeć:

— Patrzcie! patrzcie!... tego kutwę Łukasza wyprowadzają ciupasem z piekła...

Djabeł o mało nie spłonął ze wstydu, że musi towarzyszyć podobnemu nędznikowi, ale pan Łukasz, widocznie całkiem już pozbawiony ambicji, zachował zimną krew i zamiast opłakiwać swoją hańbę, oglądał się po piekle. Djabeł aż pluł ze złości i, udając, że go bolą zęby, podwiązał sobie twarz kolorową chustką od nosa, ażeby go nie poznano.

Ponieważ szli bardzo prędko, pan Łukasz zatem widział niewiele. Zdawało mu się jednak, że piekło jest dość podobne do Warszawy, i że kary, trapiące grzeszników, są raczej dalszym ciągiem ich żywota, aniżeli jakimiś wymyślnymi mękami.

W przelocie zauważył, że zarząd miejski po całych dniach jeździ drabiniastymi wozami po piekielnych brukach, nielepszych od warszawskich. W oknie jednej z księgarń spostrzegł broszurę p. t. „O zastosowaniu asfaltu do mąk piekielnych i o jego wyższości nad zwyczajną smołą,” co mu się bardzo podobało, wnioskował bowiem, że przedsiębiorstwo asfaltowe razem ze swoim żywym i martwym inwentarzem dostało się tam, gdzie je pan Łukasz w gniewie wysłał. Spotkał tu młodych lewków warszawskich, którzy mieli zwyczaj zaczepiać kobiety na ulicach. Za karę dano im haremy, złożone z ofiar ich dzikiej namiętności. Tylko każda huryska miała pełnych osiemdziesiąt lat, głowę łysą, zęby wprawiane, była chuda jak szkielet, trzęsa się jak żelatyna i okazywała niepojętą zazdrość, tudzież pretensją do nieustannych hołdów.

W ratuszu kilkanaście komitetów naradzało się nad kanalizacją, oczyszczeniem miasta, drożyzną mięsa i tym podobnymi kwestjami. Ponieważ codziennie gadano o jednym i tem samym bez dalszych skutków, więc członkowie szanownych zebrań z nudów i rozpaczki aż wyskakiwali oknami na bruk i rozbijali się na miazgę, jak dojrzałe kawony. Na nieszczęście, za każdym razem zbierano ich pogruchotane szczątki, jako tako sklejano i znowu posyłano do sali obrad.

Widział także pan Łukasz cierpienia literatów.

Redaktorowie pism przez całą wieczność dmuchali w olbrzymie samowary, obejmujące od kilku do kilkunastu tysięcy szklanek wody, napróżno usiłując doprowadzić ją do stanu wrzenia. Pracowali niezmiernie, aż do skołowacenia, lecz woda wciąż była letnia. Wkońcu poczęła nawet cuchnąć, ale pozostała letnią.

Niemniejszą męką cierpieli recenzenci teatralni, którzy z mocy wyższych wyroków zamienili się na baletników, śpiewaków, aktorów, grywali sztuki po dwa razy na dzień i musieli czytywać swoje własne recenzje, pisywane niegdyś o innych, a dziś zastosowane do siebie. Co gorsze, że publiczność, wierząca w drukowane słowo, nie licząc się z trudnościami ich stanowiska, nieograniczenie ufała ich recenzjom i bardzo znęcała się nad autorami-aktorami.

Tylko twórcy popularno-ekonomicznych broszur nie cierpieli żadnych mąk, ponieważ ich prace literackie dawano do studjowania najzakamienialszym grzesznikom. Czytając je, nieszczęśni wyrywali sobie włosy, kąsali własne ciało i strasznie przeklinali swoich katów. Skutkiem tego popularni ekonomiści cieszyli się w piekle dość znacznym rozgłosem.

Wszystko to widział pan Łukasz, szybko przebiegając ulice Erebu w towarzystwie gromady małych urwisów, którzy krzyczeli:

— Patrzcie! patrzcie!... Oto jest Łukasz, kamienicznik warszawski, którego z piekła wyprowadzają ciupasem!...

Nareszcie djabeł, konwojujący Łukasza, nie mógł już dłużej wytrzymać. Nigdy jeszcze jego cierpliwej dumy nie wystawiono na podobne szykany. Stracił zimną krew i schwycił Łukasza za

kołnierz...

Napół umarły z trwogi egoista uczuł tak silne kopnięcie w miejsce, położone między piętami i karkiem, że wyleciał w powietrze z prędkością kuli armatniej.

Nie mógł prawie tchu złapać...

Silny ból otrzeźwił pana Łukasza.

Kiedy otworzył oczy, przekonał się, że leży na podłodze, przy łóżku. Szlafrok miał rozrzucony, jakby skutkiem gwałtownych ruchów, a szalik spadł mu z głowy i zwiesił się z poduszki.

Starzec dźwignął się z trudnością. Rozejrzył się. To jego własne łóżko, jego mieszkanie i jego szlafrok. Te same sprzęty i ten sam zapach asfaltu, którym wylewają chodnik przed domem.

Rzucił okiem na zegar. Szósta — i mrok już zapełnia pokój. Jest więc szósta wieczór. Ostatnia zaś godzina, jaką słyszał, była trzecia.

Co robił od trzeciej do szóstej?

Chyba spał...

Tak jest, niezawodnie spał, ale jakież przykre sny go dręczyły!...

Sny?

Jużci, chyba że sny... Niezawodnie, że sny!... Piekło, jeżeli istnieje, musi wyglądać całkiem inaczej, a jego towarzysze preferansowi nie pełnią tam prawdopodobnie obowiązku sędziów.

W każdym jednak razie sen ów był dziwny, dziwnie jasny, jakby proroczy, i głęboko wyrył się w umyśle pana Łukasza.

Ale czy to był sen?... Jeżeli sen, to w takim razie, dlaczego pan Łukasz doświadcza w okolicy krzyża tępego bólu, jakby od uderzenia djabelskim kolaniem?...

— Sen?... Nie sen!... Sen!... Nie sen!... — powtarzał sobie starzec, i dla ostatecznego sprawdzenia swoich wątpliwości, powlókł się do okna, włożył okulary i uważnie począł przypatrywać się śmietnikowi.

Widział tam słomę, papiery, skorupy, ale między nimi pantofla nie było...

Gdzież pantofel?... Rozumie się, że w piekło!

Pana Łukasza ciarki przebiegły. Otworzył lufcik i krzyknął do zamiatającego stróża:

— Józef! A gdzie podział się ze śmietnika mój pantofel?

— A podniosła go jakaś baba — odparł stróż.

— Cóż to za baba? — pytał starzec, coraz bardziej zatrwożony.

— Jakaś biedna warjatka. Wciąż gadała do siebie, modliła się za dusze zmarłe i nawet kołatała do pańskiego mieszkania — mówił stróż.

Panu Łukaszowi robiło się naprzemian zimno i gorąco, ale pytał dalej:

— Jakże ona wyglądała? Poznałbyś ją?...

— Cobym nie miał poznać. Miała jedną nogę owiniętą w gałgan i bardzo kuląła.

Pan Łukasz zaczął zębami szczekać.

— I czy ona wzięła ze sobą pantofel?

— Z początku wzięła — mówił stróż — ale potem zaczęła kogoś kląć i tak, gdzieś rzuciła pantofliskiem, że go znaleźć nie można. Jakby się w piekło zapadł!... Choć, coprawda, niema czego żałować, bo już był wielki gałgan...

Ale pan Łukasz nie słuchał końca mowy Józefa.

Gwałtownie zamknął lufcik i prawie bez sił padł na starą kanapę, mruczając:

— Więc to nie był sen?... To była rzeczywistość!... Więc istotnie wypędzono mnie nawet z piekła!...

— Odtąd — szeptał dalej — do końca świata będę żył w tej kamienicy, między temi gratami,

nosząc na piersiach listy zastawne, które t a m... nie mają żadnej wartości...

— I co mi po tem?...

Pierwszy raz w życiu pan Łukasz zadał sobie pytanie: c o mu po tem? Co mu po tej kamienicy, w której nie ma wygody? po sprzętach i gratach, próchniejących w natłoku? nareszcie co po pieniądzach, za które nigdy nic nie użył i które nic nie znaczą wobec wieczności? A wieczność już się zaczęła dla niego!...

Wieczność jednostajna i strasznie nudna, bez zmian, nadziei, a nawet niepokojów. Za rok, za sto i za tysiąc lat pan Łukasz będzie nosił na piersiach listy zastawne, a skryte szuflady biurek będzie napępiał bankocetkami, srebrem i złotem, o ile takowe wpadnie mu kiedy do rąk. Za sto i za tysiąc lat będzie posiadał swoją ponurą kamienicę i będzie się procesował o nią naprzód z własną córką i zięciem, potem z ich dziećmi, później z wnukami i praprawnukami. Nigdy już w miłym towarzystwie przyjaciół nie usiądzie do preferansa, ale zato wiecznie będzie patrzył na te sprzęty, chaotycznie ustawione i kurzem pokryte, na szerniałe obrazy, na podartą kanapkę, na swój szlafrok rozsypujący się i zatłuszczony, i... na ten szaflik z mularskimi narzędziami.

O czym pomyślał, na co spojrzał, wszystko przypominało mu karę wieczną, straszną tem, że była niezmienna, nieruchoma, jakby skamieniała. Takie życie, jakie on dzisiaj prowadzi, można wyczerpać w jednym dniu, a znudzić się niem za tydzień. Ale pędzić je przez wieki wieków — to już okrutna męczarnia!

Zdawał mu się że paka listów zastawnych pali mu piersi. Wyjął więc je z pod kaftanika i rzucił do komody. Ale i tam nie dawały mu pokoju.

— Co mi po nich? — szeptał. — Mam je i, straszna rzecz! nie uwolnię się od nich nigdy...

W tej chwili zapukano do drzwi.

Wbrew zwyczajowi, pan Łukasz, nie uchylając lufcika, otworzył — i zobaczył mularza.

— Zlituj się wielmożny pan — błagał mularz, trzymając pokornie czapkę w rękach — i oddaj mi moje statki. Ja tam procesować się z panem nie będę, bom ubogi. Bez statków roboty nie dostanę, a na kupienie nowych nie mam pieniędzy...

— A weź sobie twoje statki, tylko je prędko wynoś! — krzyknął pan Łukasz, kontent, że pozbędzie się choć szaflika.

Istotnie mularz bardzo prędko wyniósł statki do sieni, ale zdziwienia ukryć nie mógł. Patrzył na pana Łukasza, miętosząc czapkę, a pan Łukasz patrzył na niego.

— No, czy ci brakuje czego? — zapytał starzec.

— Juźci brakuje mi... zapłaty za robotę — odparł zapytany nieśmiało.

Pan Łukasz poszedł do biurka i wysunął jedną z licznych szufladek.

— Ile ci się należy?...

— Pięć rubli, wielmożny panie. A co ja miałem straty, zem robić przez ten czas nie mógł!... — mówił mularz, chcąc prędeż wydobyć pieniądze.

— Ileżeś miał strat?... Tylko mów prawdę — spytał pan Łukasz.

— Chyba ze sześć rubli — odparł mularz, myśląc z obawą, czy też stary zwróci mu jego należność.

Wnet jednak przekonał się z największym zdumieniem, że pan Łukasz wypłacił mu jedynaście rubli, jak orzech zgryzł...

Mularz nie chciał wierzyć własnym oczom, oglądał pieniądze i błogosławił pana Łukasza. Ale starzec prędko zamknął przed nim drzwi, mrużąc do siebie:

— Chwała Bogu, zem się choć pozbył szaflika i jedynastu rubli...; Byle tylko nie wróciły...

Niebawem zapukano po raz drugi. Pan Łukasz znowu drzwi otworzył i spotkał się oko w oko z

żoną stolarza.

— Panie! — zawołała kobieta, klękając na progu — po raz ostatni błagam cię, nie licytuj nas. My się później wypłacimy... Ale dziś, czy pan wie, że nie mam ani na doktora dla chorego męża, ani nawet na łyżkę stawy dla niego i dla dzieci...

I, mówiąc, płakała tak żałośnie, że starzec uczuł ból w sercu. Pobiegł do biurka, wyjął stamtąd dwa ruble, i wciskając je w ręce kobiecie, rzekł:

— No, no!... niech pani nie płacze. Tu ma pani trochę pieniędzy na najpilniejsze rzeczy, a później... dodam więcej. Licytacją odwołam, w mieszkaniu was zostawię i pomagać będę, byleście tylko... uciekali się do mnie w razie rzeczywistej potrzeby, bez żadnych zachcianek do wyzyskiwania starego człowieka.

Stolarzowa oniemiała i patrzyła na pana Łukasza błędnymi oczyma. On odsunął ją lekko od progu, zamknął drzwi i szepnął, jakby się sprzecząc z kimś:

— Otóż nie będzie licytacji, ani jutro, ani nigdy!... A swoją drogą znowu ubyło dwa ruble. To już trzynaście...

Wnet jednak wzięty górę nad nim smutne myśli. Każdy bowiem przedmiot, stojący w pokoju, a było ich bardzo wiele, ranił go jak sztylet.

— Kto zechce wziąć te graty? — mówił do siebie. — Czy ja będę mógł wyprowadzić się kiedy stąd, kiedy już taka klątwa wisi nade mną, że muszę całą wieczność przepędzać w tym domu!...

Pan Łukasz był jakiś znużony, więc zapalił świecę, rozebrał się i legł spać.

Zasnął twardo, bez marzeń. Ale następnego poranku przypomniał sobie piekielne widzenia, jednostajną wieczność, brak celu w życiu — i posmutniał.

Stróż przyniósł mu bułkę i trochę gorącej wody. Pan Łukasz przyrządził sobie herbatę, wypił ją i znowu medytował nad swem nieszczęściem.

W południe ten sam stróż zaopatrzył go obiadem z taniej kuchni i wyszedł, nic nie mówiąc. Pan Łukasz był pewny, że już dziś nie zobaczy twarzy ludzkiej, a na miasto iść nie śmiał, obawiając się, ażeby mu nie przypomniało zbyt wyraźnie piekła.

Wtem, około czwartej, zaczął ktoś gwałtownie dobijać się do drzwi. Pan Łukasz otworzył i o mało nie padł na ziemię. Przed nim stał adwokat Kryspin.

Starzec, nie mogąc myśli zebrać, milczał. Adwokat zaś był jakiś niezadowolony. Wszedł na środek pokoju i rzekł pochmurnie:

— No, ciesz się!... Wygrałeś sprawę, ale przed trybunałem boskim!...

Szalona radość opanowała starca.

— Ja wygrałem sprawę przed trybunałem boskim?... — zawołał. — Jakim sposobem?... Więc mnie już nie wyrzucą z piekła?...

— Czyś zwarzjował, Łukaszu?... — spytał adwokat zdziwiony.

— Słyszę przecie, co mówisz...

— Kiedy mówię — rzekł adwokat — żeś wygrał sprawę przed trybunałem boskim, to znaczy, żeś ją przegrał w sądzie ludzkim, i że albo musimy wynaleźć kruczek do nowego procesu, albo oddać twojej córce ten dom. Rozumiesz?...

Pan Łukasz począł trochę rozumieć.

— Trybunał boski... trybunał boski... — mruzczał starzec, a potem nagle zapytał adwokata:

— Za pozwoleniem!... Więc ty nie zginął w tym pociągu, który się rozbił?...

— Ja nim nawet nie jechałem. Ale co ty mówisz, Łukaszu?

— Zaraz! — przerwał mu starzec. — Więc nie zabiłeś się i nie byłeś w piekle?...

Do pokoju wpadł stróż, trzymając w ręku pantofel.

— Panie! — zawołał — jest pantofel, znalazłem go za beczką...

Pan Łukasz obejrzał swój pantofel i nie mógł dostrzec na nim ani śladu ognia.

— Więc i mój pantofel nie był w piekle?... — szepta! starzec.

— Ty masz bzika, Łukasz! — krzyknął rozgniewany adwokat. — Ja ci mówię, żeś przegrał proces, a ty mi pleciesz o piekle.

— Widzisz, miałem wczoraj dziwny i przykry sen...

— Co tam! — przerwał Kryspin — sen mara, Bóg wiara!... Teraz nie o sny chodzi, ale o to: czy wynosisz się z kamienicy, czy też dalej procesujesz się z córką?

Pan Łukasz zamyślił się. Myślał, rozmyślał, rozważał, nareszcie rzekł stanowczo:

— Proces!...

— Tak to rozumiem! — odparł adwokat. — Ale, ale!... Była dziś n mnie stolarzowa i powiedziała, że odwołujesz licytacją na ich ruchomości. Gzy to prawda?...

Pan Łukasz aż skoczył.

— A niechże Bóg broni! — wykrzyknął. — Wczoraj byłem trochę rozstrojony, obiecałem, że cofnę licytacją i nawet (wstyd mi wyznać!) dałem babie dwa ruble... Ale dziś jestem już zupełnie trzeźwy i uroczyście odwołuję wszystkie nierozsądne obietnice.

— No tak! — rzekł adwokat z uśmiechem, ściskając Łukasza za rękę. — Teraz poznaję cię... Bo kiedym tu wszedł, wydawałeś mi się jakby innym człowiekiem!

— Ten sam, ten sam do śmierci!... Zawsze twój Łukasz!... — odparł rozrzewniony starzec. — Żał mi tylko trzynastu rubli, które pozwoliłem sobie wydrwić.

Po tej odpowiedzi obaj panowie ucałowali się serdecznie.

Przygotowano na podstawie bookini.pl